

**Wykład prof. dra hab. Jacka M. Majchrowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego
na temat sukcesji prezydenckiej na obczyźnie, wygłoszony w dniu 8 maja 1999 r.
na zjeździe Bractwa Orderu Świętego Stanisława w Krakowie**

Panie Prezydencie, Wielce Szanowni Państwo!

Czuję się nieco skrepowany mówiąc o rzeczach, które ja znam z literatury i ze źródeł, natomiast Pan Prezydent w większości z autopsji. Będzie to więc zetknięcie tego jak to było naprawdę, z wiedzą jaką można uzyskać w oparciu o materiały źródłowe. Historia uczy, że jest to czasami wiedza bardzo różna. Bardzo różna nie tylko ze względu na zawodność i niekompletność materiałów, ale z tego względu, że każdy ma swoją optykę widzenia i tak będzie postrzegał dany problem, jakim chce go zobaczyć.

Chciałem Państwu dzisiaj powiedzieć parę słów o tym, co nazwałem w sposób umowny „kwestią sukcesji prezydenckiej na obczyźnie”. Jest to problem bardzo skomplikowany i w zasadzie można powiedzieć, nie prezentowany w literaturze polskiej. Jeżeli Państwo weźmiecie, obojętnie jaki podręcznik dotyczący historii ustroju naszego kraju, to zobaczycie, że ten wywód idzie w zasadzie począwszy od osiemnastego do trzydziestego dziewiątego roku, potem jest wspomniane, że była wojna, i potem omawiane są władze na terenie ziem polskich. Natomiast trzeba mieć świadomość tego, obojętne z jakiego punktu na to patrzemy i obojętne jak to z politycznego punktu widzenia oceniamy, że te władze polskie po 1939 r. szły niejako dwoma torami. Mówię „niejako dwoma torami”, bo należałoby w zasadzie powiedzieć, że „przynajmniej dwoma torami”. Ale do tego jeszcze przejdziemy.

Zacznijmy zatem od historii, od momentu, kiedy prezydent Mościcki wraz z rządem opuścił terytorium Polski. Obojętne jak to będziemy oceniać, trzeba powiedzieć, że od tego momentu mamy do czynienia zupełnie z innym sposobem sprawowania urzędu. Władze polskie znalazły się na emigracji a więc poza terytorium, którym rządzą. I z tym zaczęła się wiązać cała gama problemów. W momencie opuszczenia granic przez prezydenta, a następnie internowania tegoż prezydenta, zaszła konieczność wyznaczenia przez niego następcy. Zastosowany został wówczas przepis Konstytucji Kwietniowej. Przepis, który był w momencie jej uchwalenia bardzo krytykowany. I faktycznie patrząc na to z abstrakcyjnego punktu widzenia, przepis ów mógł być krytykowany. Natomiast praktyka pokazała zupełnie co innego, że ten przepis mówiący o wyznaczeniu następcy przez urzędującego prezydenta, okazał się w zasadzie zbawiennym. Dlatego mianowicie, aby można było kontynuować działalność Polski suwerennej, prezydent Mościcki 27 września [1939] mianował swym następcą Władysława Raczkiewicza. Mówię „mianował Władysława Raczkiewicza”, albowiem nie jest to też do końca stwierdzenie prawdziwe. Albowiem przed prezydentem Raczkiewiczem były nominacje dotyczące dwóch osób: marszałka Rydza-Śmigłego i generała Wieniawy-Długoszowskiego. I tutaj z punktu widzenia prawnego, moim zdaniem, nastąpiła pierwsza pomyłka. Albowiem prezydent Mościcki zaczął stosować zasadę, do której odwoływano się potem jako do tradycji, zasadę, która spowodowała pewne komplikacje. Mianowicie, zaczął stosować zasadę polegającą na tym, że mianował kolejnego następcę nie odwołując poprzedniego. I to spowodowało w późniejszych latach bardzo wiele kontrowersji. Samo mianowanie następcy przez prezydenta Mościckiego było czasami kwestionowane, aczkolwiek głosy kwestionujące były dosyć rzadkie. Mianowicie mówiono, że ze względu na internowanie prezydent miał ograniczoną możliwość swobody decyzji. Jest to oczywista prawda. On nie mógł mianować kogo chciał. On chciał Rydza, o którym wiadomo było, że jest w podobnej sytuacji jak on. A więc też nie może sprawować urzędu. Chciał mianować Wieniawę, nie wyszło to z bardzo prozaicznej przyczyny. I to warto może wiedzieć, albowiem świadczy to, moim zdaniem, o kolejnym bezprzykładnym ingerowaniu władz zachodnich w sprawy polskie. Wieniawa nie podjął nominacji ze względu na stanowczy sprzeciw Francji i potem Anglii, ale głównie Francji. Sprzeciw ten zresztą był spowodowany działaniami gen. Sikorskiego. Ale to są inne sprawy. W każdym razie w tej sytuacji jaka była, sprzeciw francuski, ingerencja w polskie wewnętrzne sprawy obsady urzędu, moim zdaniem, jest absolutnie karygodna. Wracając jednak do tej całej sprawy mówiącej o braku swobody, możliwości podejmowania decyzji trzeba powiedzieć, że generalnie rzecz biorąc, władze Polski nie zrzekły się nigdy, mimo że chcieli tego Rumuni, wręcz naciskali na to, jak to nazywa się w literaturze – „attributów konstytucyjnych, politycznych i administracyjnych”. A więc miał ograniczoną możliwość odnośnie do wyboru osób, ale nie miał, nie był ograniczony odnośnie do tego, że mógł to uczynić. Trzeba jednak jeszcze zwrócić uwagę na jedno, że mimo tego, iż była to sprawa absolutnie ewidentna, gdzieś tam w podtekście zawsze zachodziła obawa odnośnie do tego czy jest to faktycznie prawnie w porządku. Świadczy o tym fakt, iż wszystkie dokumenty mianujące następcę prezydenta były datowane przez Mościckiego na terytorium Polski. Każdy był podpisany „Kuty”, jako ostatnia miejscowość i data 17 września [1939 r.], dopiero potem nominacja Raczkiewicza była już datowana 27-go. A więc jakaś taka niepewność w tym zakresie istniała. Aby zamknąć to zagadnienie trzeba jednak podkreślić, że analiza sytuacji prawnej, tak w kontekście polskiego prawa konstytucyjnego

jak i prawa międzynarodowego, absolutnie przemawia za utrzymaniem przez Mościckiego, także po internowaniu wszystkich uprawnień konstytucyjnych.

W oparciu o przedstawione rozwiązanie, a więc o takie przekazanie urzędu swemu następcy, po Raczkiewiczzu sprawowali kolejno ten urząd jego następcy. A więc: August Zaleski, Stanisław Ostrowski, Edward Raczyński, Kazimierz Sabbat i Ryszard Kaczorowski – jeżeli weźmiemy jedną linię. I jeżeli weźmiemy drugą linię, po Zaleskim, Pan Prezydent Sokolnicki. I tutaj dochodzimy do czegoś, co warto może podkreślić na samym początku. Dzięki tym aktom, obojętne które uznamy za prawidłowe, nie została nigdy przerwana ciągłość konstytucyjna. Zresztą z tego co się orientuję, nawet była taka zasada – biorąc pod uwagę tę pierwszą linię (nie wiem, czy Pan Prezydent też stosował tę zasadę) – że w momencie podpisywania czy składania przysięgi, przed opuszczeniem budynku prezydent dokonywał aktu nominacji swego następcy. Po to po prostu, aby w momencie kiedy wyjdzie za bramę a przejedzie go samochód, czy spadnie na niego cegła – był kolejny następca, aby nie było zerwanej tej ciągłości. I to trzeba przyznać, że tak po prostu powinno być. Ale i tu było zastrzeżenie natury politycznej. Ten sposób obsadzania następcy powodował to, przynajmniej w pierwszym okresie, że dawał ciągłość polityczną ekipie rządzącej przed 1939 rokiem. W praktyce, jak Państwo się orientujecie, wyglądało to inaczej. Bo praktyka poszła w kierunku zresztą trochę niekonstytucyjnym, ale to już nie należy do naszych zainteresowań. Mianowicie tzw. umowa paryska mówiła o tym, że prezydent sprawuje swe rządy w zasadzie wspólnie z premierem. Do tego by można to sprowadzić, mówiąc najogólniej.

Pierwszy konflikt dotyczący obsady stanowiska prezydenta miał miejsce w momencie objęcia urzędu przez Zaleskiego. Wobec wcześniejszych ustaleń o powierzeniu prezydentury Arciszewskiemu, który został wyznaczony następcą 7 sierpnia 1944 r., przekazanie władzy wywołało bardzo istotny spór dotyczący legalizmu tej władzy. Polska Partia Socjalistyczna uznała bowiem, że nie może współpracować z nielegalnie mianowanym prezydentem. W praktyce, potem ta grupa została rozszerzona o część Polskiego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwo Narodowe, Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja”. Oznaczało to w praktyce, krótko mówiąc, rozbitcie obozu emigracyjnego na dwa człony bardzo ze sobą wewnętrznie skłócone. Niestety, nie było to najlepsze rozwiązanie. Z punktu widzenia legalizmu istotną decyzją Raczkiewicza jest problem związany z ogłoszeniem nominacji Zaleskiego. Otóż przepisy prawne regulujące ten problem stwierdzają, że nominacja powinna być ogłoszona po przeprowadzeniu konsultacji. Konsultacje te zakończyły się 7 czerwca [1947], a więc już po zgonie Raczkiewicza. Akt wyznaczający następcę opublikowany został 8-go, a więc także po śmierci prezydenta i antydatowany na 6 czerwca. I tu jest też kolejny element, który pod kątem prawnym nie może być uznany za prawidłowy. Drugim istotnym problemem związanym z objęciem urzędu przez Zaleskiego była kwestia zapisu konstytucyjnego. Przytoczę go dosłownie: „w razie wojny okres urzędowania Prezydenta Rzeczypospolitej przedłuża się do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju”. I w kolejnym podpunkcie znajdujemy stwierdzenie dalsze: „W razie objęcia przez następcę urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, okres jego urzędowania trwa do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju”. A więc teraz mamy do czynienia z sytuacją zupełnie paradoksalną. Mianowicie, rozpoczyna się okres prezydentury funkcjonującej w ramach międzynarodowego pokoju, ale cały czas w oparciu o zasady przewidziane w konstytucji dla okresu wojny. I to jest też kolejna sytuacja, która powoduje, iż mamy do czynienia z takim dosyć dziwnym tworem. Rodzi się w tym miejscu pytanie, jakie działania powinny być podjęte po upływie owych trzech miesięcy? Odpowiedź na to pytanie może być rezultatem nie tylko analizy i interpretacji przepisów konstytucji, ale w przeważającej mierze jest w literaturze rezultatem ocen politycznych. Aby zrozumieć ten problem dokładniej należy zwrócić uwagę, że znaczna część ugrupowań opozycyjnych, ugrupowań politycznych funkcjonujących także na emigracji, nie uznawała Konstytucji Kwietniowej. Bo my też cały czas o tym zapominamy, że Konstytucja Kwietniowa nie była uznawana przez znaczną część ugrupowań politycznych, albowiem uznana była nie bez pewnej dozy słuszności, za akt prawny uchwalony ze złamaniem zasad proceduralnych. My zresztą mamy w ogóle jakąś taką tendencję do uchwalania konstytucji z takim lekkim naruszeniem zasad prawnych, począwszy od Konstytucji 3 Maja, idąc dalej. Ewidentną tego konsekwencją, jeżeli byśmy przyjęli, że taka sytuacja jest faktycznie, powinno być nie uznawanie także prezydenta wybranego w oparciu o postanowienia tej konstytucji. Tutaj mamy do czynienia jednak z sytuacją dosyć dziwną. Pewne ugrupowania nie uznają konstytucji, ale na emigracji wchodzą do władz powołanych w oparciu o ową konstytucję. Mało tego, ministrowie z tych ugrupowań podpisują ślubowanie zawarte w tej konstytucji. A więc występuje pewnego rodzaju taka dosyć dziwna dwoistość. W każdym razie trzeba pamiętać o tym, że uznanie władz londyńskich w tym okresie już było nie tak powszechne. Niektóre środowiska polonijne, opozycyjne w stosunku do Piłsudczyzny występowały przeciwko legalności tych władz. Między innymi Kongres Polonii Amerykańskiej, a także, co się mało akcentuje, Stanisław Mikołajczyk po powrocie z Polski. Należy również pamiętać o tym, to jest bardzo istotny element, że w momencie przejmowania urzędu

przez Zaleskiego, władze polskie na obczyźnie uznawało jedynie pięć państw. Z czasem zaś, i te pięć państw po kolei na różnym etapie wycofały swoje uznanie. Wszystko to się oczywiście wiązało z tym, że tutaj równoległe na terenie kraju powstawały władze Polski. Z punktu widzenia politycznego, dla aliantów było bardziej istotne nawiązanie kontaktów z władzami na terenie ziem polskich, niż z emigracyjnymi. Ale trzeba powiedzieć generalnie, że alianci tutaj zachowali – mówię szczególnie o Anglikach, ale też o Amerykanach pewnego rodzaju dwoistość. Z jednej strony wycofano uznanie dla władz emigracyjnych, ale z drugiej strony nic nie zrobiono w tym kierunku, żeby te władze zaprzestały działać. Wręcz przeciwnie, utrzymywano z tymi władzami kontakty, utrzymywano je także wspomagając finansowo. A więc oficjalnie „nie”, nieoficjalnie „tak”. Tutaj najbardziej decydującą rzeczą było wycofanie uznania dokonanego 5 lipca 1945 roku przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię, co w zasadzie eliminowało możliwości występowania władz emigracyjnych na arenie międzynarodowej. Na wszystkie sprawy, to jest też taka pewna prawidłowość występująca w całej naszej najnowszej historii ustroju, że na wszystkie sprawy dotyczące uregulowań prawnych składa się jakby taka druga warstwa, która jest warstwą decydującą. Niestety, warstwa, która jest warstwą typowo polityczną. Przestają obowiązywać dla niektórych pewne uregulowania, ważniejsze są cele i ideały polityczne. I tutaj mamy też do czynienia z taką sytuacją. Mianowicie zaczyna się długi okres urzędowania prezydenta Zaleskiego. Długi okres, albowiem w sumie znacznie przekroczył kadencję, potem drugą kadencję i urzędował spokojnie dalej, mimo iż składał pewne oświadczenia dotyczące zakończenia swojego urzędowania. Argumentacja o przedłużeniu tego urzędowania była dosyć ciekawa. Mianowicie powiedziano w ten sposób: „urząd następcy prezydenta nie jest uregulowany konstytucyjnie”. Ale oznaczałoby to, gdyby iść tokiem tego rozumowania nadal, że w zasadzie jest to inny urząd niż urząd prezydenta, że przepisy dotyczące urzędu prezydenckiego nie powinny obowiązywać urzędu następcy prezydenta. Jeżeli byśmy takie rozumowanie przyjęli, nie byłoby to rozumowanie chyba celowe. W każdym razie Zaleski takim rozumowaniem się podpierał. Nie podobało się to wszystkim i dlatego też w pewnym momencie wielu bardzo znamienitych działaczy emigracyjnych, wypowiedziało posłuszeństwo prezydentowi. Mówię znamienitych, albowiem na czele nich stał gen. Anders. Dla grupy związanej z gen. Andersem ciągłość prezydentury została zatrzymana, prezydent znalazł się w izolacji. I powstał problem, kto powinien go zastąpić. Pojawiły się koncepcje obwołania głową państwa gen. Sosnkowskiego. On jednak nie wyraził na to zgody uważając, że się powinno to odbyć inną drogą. On lansował taką ideę dotyczącą wymuszenia abdykacji prezydenta przez nacisk społeczny. Ostatecznie przyjęto inne rozwiązanie. Mianowicie, uchwałą Tymczasowej Rady Jedności Narodowej z 8 sierpnia 1954 roku w sposób, trzeba powiedzieć wyraźnie, absolutnie antykonstytucyjny, powołano do życia tzw. Radę Trzech. Ta Rada Trzech, w skład której obok gen. Andersa wszedł Tomasz Arciszewski i Edward Raczynski (potem ulegała ona jeszcze zmianom) jak to sama określiła, miała charakter „przejściowego organu zwierzchniego” i „zastępczo wstąpiła w prawa i obowiązki prezydenta na obczyźnie”, pozostając w opozycji do „samowoli jednostki niepomnej Konstytucji i uroczystych zobowiązań, lekceważącej jednomyślny głos społeczności polskiej w wolnym świecie”. Ogłosiła ona, że obowiązki swoje przekaże w ręce prawowitego prezydenta Rzeczypospolitej, przy czym wskazała z góry kto tym prezydentem powinien być, mianowicie, gen. Sosnkowski. W ten sposób stało się faktem podwojenie emigracyjnych władz Polski. Ale to jeszcze nie jest wszystko. Mianowicie, gdy urząd prezydenta objął Stanisław Ostrowski, Rada Trzech zakończyła swoją działalność przekazując uzurpowane sobie uprawnienia jemu jako prezydentowi. To potwierdza polityczno-personalny charakter frondy. W przypadku wątpliwości prawnych oznaczałoby to odmowę uznania także i następnych prezydentów. Ale prezydent Zaleski skomplikował sprawę w jeszcze jeden sposób. Mianowicie, kilkakrotnie zmieniał decyzję wyznaczającą następcę. I w tym momencie ja się czuję coraz mniej kompetentny, bo tutaj mam do czynienia z osobą, która sama była w wirze tych wydarzeń. W każdym razie, wyznaczył jako jednego ze swych następców Pana Prezydenta Nowinę-Sokolnickiego. Idąc tym tokiem rozumowania, który do tej pory obowiązywał, oznaczało to w praktyce odwołanie Stanisława Ostrowskiego, który był wcześniej mianowany następcą. A w związku z powyższym, prezydentem oficjalnie winien być Pan Nowina-Sokolnicki. Tutaj niestety mamy do czynienia z tym, co w Polsce jest bardzo częste, a mianowicie z pewnego rodzaju rozbiciem. Grupa tzw. Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego obwołała prezydentem Stanisława Ostrowskiego. Część ośrodków politycznych uznała prezydenturę Ostrowskiego, część Pana Prezydenta Nowiny-Sokolnickiego. Tutaj mamy do czynienia z bardzo istotną sytuacją. Mianowicie, chyba byliśmy przez parę miesięcy jedynym państwem, które miało generalnie rzecz biorąc równoległe cztery głowy państwa. Bo było dwóch prezydentów emigracyjnych, Rada Trzech i władze w kraju. To trochę za dużo. Ale tak było. Potem Rada Trzech przestała funkcjonować, zaczęło się to nieco zmieniać. W każdym razie sytuacja była dosyć skomplikowana. Kolejna sprawa, na którą warto zwrócić uwagę, to jest sprawa relacji pomiędzy ośrodkami opozycji działającej w Polsce, a władzami emigracyjnymi. Albowiem władze emigracyjne reprezentowane przez Pana Prezydenta Sokol-

nickiego, w zasadzie były tymi władzami, które w pierwszej fazie były uznawane przez środowiska opozycyjne w Polsce. To, żeby przypomnieć pewne fakty, to prezydent Wałęsa przyjmował Order Orła Białego nadany przez Pana Prezydenta Sokolnickiego, to wielu opozycyjnych działaczy również jeździło do Niego, przyjmowało nadane przezeń odznaczenia. Nie wiem, to już Pan Prezydent będzie wiedział bliżej, na skutek czego w pewnym momencie dokonał się pewien zwrot. W każdym razie jest rzeczą też kuriozalną, że w momencie kiedy przekazywano władzę prezydentowi urzędującemu w Polsce, też zresztą bardzo ciekawe dla czego dopiero prezydentowi Wałęsie, a nie wcześniej Jaruzelskiemu, który był wybrany w oparciu o przepisy konstytucyjne, Wałęsa, który otrzymał Order od prezydenta Sokolnickiego, przejął insygnia od prezydenta Kaczorowskiego. Mogło to jakoś symbolizować jednolitość, jedność, ale chyba nie o to chodziło. W każdym razie w momencie wyboru prezydenta na terenie Rzeczypospolitej, na terenie ziem polskich, obaj emigracyjni prezydenci przekazali swą władzę w jego ręce. Mówiąc to pomijam fakt, że moim zdaniem, powinno się to dokonać o jednego prezydenta wcześniej, ale z przyczyn politycznych jak rozumiem, nie dokonano się. Przekazanie to dokonane zostało dwoma aktami. Aktem, który moim zdaniem, jest aktem absolutnie zgodnym z konstytucją, tzn. aktem złożonym przez prezydenta Sokolnickiego na ręce przewodniczącego Trybunału Konstytucyjnego prof. Tyczki, gdzie było napisane: z prośbą o przekazanie Marszałkowi Senatu – a więc też zgodnie z konstytucją – władzy w ręce prezydenta, który zostanie wybrany w wyborach powszechnych. Natomiast druga strona, drugi nurt, czekał do momentu kto zostanie wybrany. I dopiero wtedy w zależności od tego, kto zostanie wybrany zdecydowano się na przekazanie tejże władzy, zresztą też w sposób nie bezkonfliktowy, co spowodowało potem rozłam, bo prezydent Kaczorowski zdecydował się na przekazanie tej władzy, natomiast prof. Szczepanik jako premier był temu przeciwny. W każdym razie można powiedzieć, że w momencie kiedy został wybrany Lech Wałęsa prezydentem, wszystkie te nurty emigracyjne również spłynęły i od tego momentu mamy jeden ośrodek prezydencki w Polsce. Dziękuję za uwagę.

Przemówienie ostatniego Prezydenta RP na Uchodźstwie

**Juliusza Nowiny-Sokolnickiego
w dniu 8 maja 1999 r. w Krakowie**

Proszę Państwa,

Bardzo trudno jest mówić po tak wspaniałym wykładzie jaki dał nam prof. Majchrowski, ilustrując prawne aspekty prezydentury. Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że Konstytucja Kwietniowa, która właściwie bardzo mądrze dodała artykuł 13-ty, bo gdyby tego artykułu nie było, niemożliwe byłoby odtworzenie tej ciągłości prawnej na emigracji, jednocześnie miała ten brak, że nie zrobiono osobnego paragrafu o możliwości odwołania następcy prezydenta. Dlatego też kiedykolwiek był mianowany nowy następca, to nigdy nie został odwołany następca wcześniej wyznaczony, przyjmując, że nowa nominacja anuluje poprzednią. Powiedzmy: w chwili kiedy prezydent Raczkiewicz został zaprzysiężony w Paryżu, mianował swym następcą gen. Sikorskiego. Ale biorąc pod uwagę, że gen. Sikorski był już premierem i Naczelnym Wodzem w jednej osobie – już w listopadzie tego roku [1939] po przybyciu do Londynu gen. Sosnkowskiego, właśnie jego prezydent Raczkiewicz mianował następcą. Niestety, po śmierci gen. Sikorskiego, kiedy gen. Sosnkowski objął stanowisko Naczelnego Wodza, doszło do bardzo dużych rozdzźwięków między gen. Sosnkowskim, a dowództwem brytyjskim. I Mikołajczyk w tym wypadku użył pewnych wpływów u Brytyjczyków, żeby nacisnąć na prezydenta Raczkiewicza w celu odwołania Sosnkowskiego, to znaczy wyznaczenia innego następcy. Wtedy, tym innym następcą został przybyły świeżo z kraju Tomasz Arciszewski, prezes stronnictwa Polskiej Partii Socjalistycznej. Otóż, jak słusznie pan profesor powiedział o zmianie nominacji z Arciszewskiego na Zaleskiego, to było to w dużym stopniu zaskoczeniem. Pomimo, że sama nominacja Zaleskiego, która później została ogłoszona, była datowana na dzień 24 kwietnia [1947 r.], a więc na ponad miesiąc przed zgonem prezydenta Raczkiewicza i była też podpisana przez dwóch świadków: ówczesnego premiera Tomaszewskiego i gen. Andersa, którzy jeździli w tej sprawie zmiany następcy do prezydenta Raczkiewicza. W każdym razie prezydent Zaleski jak tylko objął urząd, to od razu wyznaczył następcą ówczesnego premiera Tomaszewskiego, który niestety w 1950 roku zmarł na atak serca. I wtedy następcą był wyznaczony gen. Anders. Obie nominacje nie były publikowane z tego względu, że nominacji tego nie życzyli sobie. Uważali oni, że z chwilą jak to będzie ogólnie wiadome, to zaczną się na nich nacisk ze strony partii politycznych. Tak zwane stronnictwa historyczne na emigracji, z biegiem lat schodziły właściwie do roli organizacji kilkusobowych. Z powodu różnych ambicji oraz spraw finansowych dochodziło do wielokrotnych rozłamów. W sprawach finansowych istniały dwa kierunki. Jedni uważali, że powinniśmy

walczyć o niepodległość tylko za nasze własne fundusze, że nie możemy brać pieniędzy od aliantów. W dużej mierze było to stanowisko Piłsudczyków. Drugie stanowisko było takie, że weźmiemy tyle ile tylko dadzą, niezależnie od tego, co za to musimy zrobić. I tym sposobem doszło do tzw. sprawy Bergu. Ale już w 1947 r. po objęciu urzędu przez prezydenta Zaleskiego, Polska Partia Socjalistyczna wyszła z rządu i wspólnie ze Stronnictwem Narodowym, które jeszcze w 1947 r. było w rządzie, i z Polskim Ruchem Wolnościowym „Niepodległość i Demokracja”, i z częścią Stronnictwa Ludowego, stworzyła Radę Polityczną jako ośrodek konkurencyjny dla rządu. W międzyczasie było szereg prób uzgodnienia owych stanowisk. Była misja zjednoczeniowa gen. Kukieła, prof. Paszkiewicza, a wreszcie gen. Sosnkowskiego. Oczywiście gen. Sosnkowski jako dawny Szef Sztabu I Brygady, był człowiekiem bardzo bliskim całego obozu Piłsudczyków. Będąc sam w organizacji Piłsudczyków, w Lidze Niepodległości Polski, pamiętam ówczesne rozmowy jakie prowadził gen. Sosnkowski zarówno z prezydentem Zeleskim jak i przedstawicielami Rady Politycznej. Niestety, dużą przeszkodą w tych rozmowach było to, że wiele osób należących do Rady Politycznej było wymienionych w kilku wydanych wówczas broszurach omawiających tzw. sprawę Bergu, w której Wydział Wewnętrzny Rady Politycznej podjął się dla Amerykanów prowadzenia wywiadu w Polsce. Oczywiście za sumę kilku milionów dolarów. I to spowodowało w tym czasie ofiary w Polsce. Prezydent Zaleski stał na stanowisku, że żadnych tego rodzaju rzeczy nie należy robić. Uważał, że nie ma na to odpowiedniego momentu i tylko ludzi można narażać na nieprzyjemności, aresztowania i więzienia. Więc wtedy, w tej misji gen. Sosnkowskiego, prezydent Zaleski stał na stanowisku, że ci ludzie wymienieni w publikacjach muszą być poddani pod Sąd Obywatelski, zanim mogą być wpuszczeni do jakiegóż rządu koalicyjnego. I o to się głównie sprawa rozbiła, że nie doszło wówczas do nominacji gen. Sosnkowskiego na następcę. Natychmiast po wypowiedzeniu posłuszeństwa przez gen. Andersa, który trzy miesiące przed tym aktem, przyjął stopień generała broni od prezydenta Zaleskiego, i ten jego „strzał z koperty” jak myśmy to nazywali na emigracji, był dużą niespodzianką, bo uważany był zawsze za człowieka stojącego lojalnie przy prezydencie Zaleskim, zwłaszcza jako jeden z dwóch, który podpisał dokument jako świadek nominacji prezydenta Zaleskiego. Ale niestety, po tym „strzale z koperty” jego kandydatura oczywiście nie była więcej brana przez prezydenta Zaleskiego pod uwagę. Od 1949 roku z inicjatywy prezydenta Zaleskiego powstał Skarb Narodowy. Właśnie w celu zbierania składek od społeczeństwa polskiego na uchodźstwie na działalność polityczną, na utrzymanie rządu i Rady Narodowej jako reprezentacji stronnictw i społeczeństwa. Tu jeszcze trzeba dodać, że kiedy rząd był uznawany przez aliantów za czasów gen. Sikorskiego i potem Mikołajczyka i Arciszewskiego, do 1945 roku budżety ówczesne rządu emigracyjnego były znacznie wyższe niż przedwojenny budżet rządu. Dlatego, że w tym czasie były pieniądze alianckie i było jeszcze polskie złoto, które przyjechało do Anglii. Ale w 1945 roku, kiedy było nieuniknione, że oficjalnie Anglicy i Amerykanie wycofają swoje uznania, wiele osób w rządzie już wtedy obawiało się, że Anglicy mogą te pieniądze oddać Rządowi Tymczasowemu w kraju. Tego by oczywiście nie zrobili, bo nie było w ich interesie, żeby to zrobić. Ale ponieważ takie obawy były, więc ówczesny minister informacji zebrał kilku panów i zaaranżowano powierników. To znaczy te pieniądze z banku zostały przekazane w ręce prywatnych powierników. Tym sposobem mieliśmy w Radzie Narodowej, w latach 60-tych, dochodzenie co się stało z tymi pieniędzmi. Oczywiście, po upływie kilku lat większość z tych powierników przestała uznawać rząd emigracyjny. A kilku z nich po prostu zostało nabranych przez różnych oszustów. Tak na przykład mieliśmy jakąś fabrykę mączki rybnej założoną w Pirenejach przez jednego pułkownika, który w międzyczasie dostał od rządu trzy miliony dolarów na przetrzymanie. Więc ta sprawa powierników właściwie pozbawiła rząd emigracyjny znacznych funduszy. Tak, że od 1949 roku trzeba było te fundusze znowu zbierać poprzez Skarb Narodowy. Niestety w 1954 roku jak nastąpił ten rozłam i „wyrzwał z koperty”, to i Skarb Narodowy został rozłamany na dwie części. Bo w tym czasie gen. Anders był nie tylko Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych, ale także był i prezesem Skarbu Narodowego. Więc ówczesny Skarb Narodowy poszedł pod komendę Rady Trzech, która wtedy została utworzona. Tak, że już od 1954 roku mieliśmy właściwie podwojenie urzędów państwowych, bo Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego była namiastką rządu, podczas gdy Rada Trzech sprawowała tymczasowo prerogatywy prezydenta. W chwili kiedy po 1954 roku prezydent Zaleski kilkakrotnie zmieniał następców, pierwszym z nowych następców po gen. Andersie był prof. Brzeski, który też nie chciał ogłoszenia jego nominacji. Potem, następnym następcą był książę Eustachy Sapieha, którego nominacja została ogłoszona. To był były minister spraw zagranicznych z lat 1920–21. Mieszkał on w Rodezji więc nie groziło, że będzie pod jakimkolwiek naciskiem, bo nikt by tam nie pojechał. Ale już po dwóch latach sam prosił o zwolnienie z tej nominacji (był starszy od prezydenta Zaleskiego) i wtedy następcą został Aleksander Zawisza, który jednocześnie był ministrem spraw zagranicznych i premierem, zawodowy dyplomata, nawet nie związany zupełnie z obozem Piłsudczyków. W tym czasie w tych rządach, w których ja brałem udział, myśmy robili ciągle próby doprowadzenia do jakiegoś porozumienia ze stronnictwami tzw. Jedności Narodowej. I w niektórych wypadkach, jak powiedzmy budowa pomnika katyńskiego

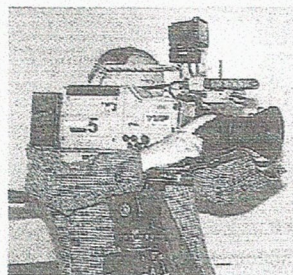
w Londynie, przedstawiciele obu stron brali w tym udział. Ale przedsięwzięciu przewodniczyli Anglicy, członkowie Izby Lordów i Izby Gmin. Nieraz więc w takich sprawach wystąpienia mogły być wspólne.

W kwestii długotrwałości urzędowania prezydent Zaleski uważał, że po pierwsze, Konstytucja nie wymieniała jak długo może urzędować wyznaczony następca, po drugie, że rząd polski legalny nie był stroną i nie podpisał żadnego traktatu pokojowego. Potem w obu obozach dodano jeszcze trzeci argument, że kraj jest pod obcą okupacją, chociaż tego nie było w Konstytucji. Ale to zostało dodane w miarę przedłużania się tego pobytu na obczyźnie. Tak, że nominacja prof. Ostrowskiego w lutym 1971 roku doszła do skutku dlatego, że ówczesny premier już zaawansował się bardzo w rozmowach ze stronnictwami popierającymi „Radę Trzech” i stronnictwa te bardzo wyraźnie powiedziały, że my nie wejdziemy do żadnego rządu (to głównie PPS) jak długo Zaleski będzie prezydentem. A więc trzeba stworzyć taką sytuację, żeby on wyznaczył następcę, na którego te stronnictwa się zgodzą. I wtedy przyszła kandydatura prof. Ostrowskiego. Ale prezydent Zaleski, który do końca życia zachował bardzo dużą trzeźwość umysłu, wkrótce się zorientował, że gra idzie w tym kierunku. I uważał, że jeżeli ma iść do zjednoczenia to tylko za jego prezydentury. I że te stronnictwa, które zwalczały go od 1949 roku powinny go ostatecznie uznać, gdyż w przeciwnym razie mogą także nie uznawać wyznaczonego następcy. Po objęciu urzędu przeze mnie w 1972 r. sytuacja stała się jeszcze trudniejsza, ale od samego początku prawie, ja zacząłem jeździć do Ameryki i tam szukać kontaktów. Główne poparcie mieliśmy ze strony Polonii Amerykańskiej i Amerykanów. Tak, że wyrobiłem nawet dobre kontakty z generałami amerykańskimi, odwiedzałem nawet różne ośrodki zbrojeniowe. Potem, jak za prezydentury Regana był tak zwany projekt obronny „Star wars”, to zwiedzałem na przykład różne zakłady produkcji pocisków rakietowych, gdzie tłumaczono mi ich skuteczność. W chwili kiedy w 80-tych latach widzieliśmy, że sytuacja się zmienia, że prawdopodobnie dojdzie do załamania się komunizmu w samej Rosji, skutkiem niepowodzeń gospodarczych i nie wytrzymania konkurencji zbrojeniowej, wyszliśmy z inicjatywą utworzenia Rady Środkowo-Europejskiej. Od wielu lat byłem zwolennikiem doprowadzenia do zjednoczenia Europy. Raz, że takie zjednoczenie może zapobiegać w przyszłości wojnom w Europie. Drugie, że wspólnota gospodarcza przyczyni się do lepszego rozwoju krajów mniej rozwiniętych gospodarczo. Ale z drugiej strony zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że bogatsze kraje, jak Wielka Brytania, Francja czy Niemcy w pierwszym rzędzie, nie będą chciały dofinansować mniej rozwiniętych krajów. Tak jak w tej chwili się robi jeśli chodzi o Grecję, Irlandię i Portugalię, które to kraje są dofinansowywane przez bogatsze kraje Unii Europejskiej. A więc uważaliśmy, że w chwili załamania się systemu komunistycznego, powinna w Europie Środkowej powstać pewna unia gospodarcza krajów Środkowo-Europejskich na okres przejściowy kilkunastu lat, do czasu kiedy będzie możliwe podniesienie stopy życiowej w tych krajach do tego stopnia, żebyśmy mogli wejść już do Unii Europejskiej. I do takiej umowy doszło w roku 1986. Zjechaliśmy się wtedy na terenie Nowego Jorku i została umowa podpisana przez nasz rząd, przez króla Albanii, przez Bułgarów, w imieniu króla Bułgarii, przez rząd Republiki Chorwacji na emigracji, przez Czechosłowacki rząd na emigracji, Estoński i przez ministra dworu królewskiego Rumunii. I ta organizacja właściwie trwała do 1990 roku. Jej działalność skończyła się z chwilą kiedy te kraje odzyskały swą wolność.

Teraz nawiążę do Orderu Świętego Stanisława. Otóż w roku 1978 mieliśmy wybór naszego papieża. To się odbiło bardzo głębokim echem na emigracji. I oczywiście wymagało z naszej strony pewnej reakcji. W następnym roku przypadała 900-na rocznica śmierci św. Stanisława Patrona Polski. W tych okolicznościach odtworzyliśmy ten Order, ale wówczas jeszcze na warunkach orderu państwowego. Uważałem, że Order Świętego Stanisława możemy użyć w pierwszym rzędzie dla pozyskania przyjaznych dla nas związków. Tym sposobem w Orderze Świętego Stanisława mamy dzisiaj 30 amerykańskich generałów. Bo ten order dawaliśmy tym, którzy wspomagali nas na terenie Ameryki. Między innymi tacy ludzie jak gen. William Westmoreland, który był dowódcą wojsk amerykańskich w Wietnamie, a potem szefem sztabu głównego amerykańskiego; gen. George Scignious, który był prezesem NATO przez szereg lat i jeszcze jest dotąd ambasadorem-at-large Stanów Zjednoczonych i może być wydelegowany gdzie będzie tego potrzeba. Więc ten Order został wznowiony. I oddzieliłem go od orderów państwowych w roku 1990 z tego względu, żeby właśnie utrzymać coś na emigracji, co może nam służyć na uzyskanie przyjaciół i na spopularyzowanie Polski w świecie. I mnie się wydaje, że to się stało dobrze, bo dzisiaj Order ma ponad 1500 członków rozsianych po całym świecie. Właściwie 400-tu w samych Stanach Zjednoczonych. I tak, że jeśli chodzi o Order, był on bardzo pomocny w zorganizowaniu pewnych akcji dobroczynnych. Na przykład w roku 1994 kiedy armia amerykańska w Niemczech zaczęła się demobilizować, pewien ekwipunek stamtąd (zwykle te rzeczy nie są odsyłane do Ameryki, bo jest to zanadto kosztowne) można było wykorzystać. W tym czasie więc z mojej inicjatywy gen. Westmoreland wraz z gen. Scignousem napisali do dowódcy armii amerykańskiej w Niemczech (w ramach NATO), żeby pewne rzeczy przysłali do kraju, do Polski. Przysłano więc wtedy 30 ambulansów wykorzystywanych dotychczas przez wojska amerykańskie, a także dużą ilość sprzętu medycznego. Mam nawet tutaj kopie listów tych generałów amerykańskich do dowódcy wojsk

w Niemczech, a także późniejszego listu z Warszawy od ambasadora amerykańskiego Reya potwierdzającego, że te ambulansy i sprzęt medyczny zostały przesłane do Polski. Oprócz tego w ostatnich czterech latach, głównie za sprawą trzech panów, którzy zajmują się u nas pomocą charytatywną, to jest pułkownik Mike A. Michaelski w Ameryce, gen. Earle E. Morris, który był dawniej wicegubernatorem stanu Południowej Karoliny a przez ostatnie osiem lat jest dyrektorem finansów tego Stanu, oraz pastor luterński ppłk. Frederick Glazier – to oni dopilnowali, że wysłano 8 ton sprzętu medycznego do Polski, na Ukrainę, do Rumunii; razem wartości dwa i ćwierć miliona dolarów. Uważam więc, że w tym względzie Order dobrze służy dla pobudzania tego rodzaju akcji charytatywnych. Oprócz tego z terenu Wielkiej Brytanii były zbiórki na domy dziecka w Polsce prowadzone przez Suc Ryder, która swego czasu w związku z jej kontaktami w Polsce dostała od królowej tytuł Lady of Warsaw, czyli Suc Ryder of Warsaw. Oni mają szereg domów dziecka w Polsce, jej fundacja prowadzi je także w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Więc w tym wypadku robimy co można. Bo właśnie trzeba działać w tym kierunku, żeby kraje w tej części Europy podnieść jak najszybciej, żebyśmy mogli szybciej wejść do struktur jednoczącej się Europy.

Na tym chciałbym zakończyć, dziękując wszystkim Państwu za przybycie i wysłuchanie.



TVP Kraków

„Kronika” z dnia 8 maja 1999 r., godz. 18.10

„Stowarzyszenie Bractwo Orderu Świętego Stanisława zaprosiło do Krakowa Juliusza Nowinę-Sokolnickiego uznawanego przez część polskiej emigracji za ostatniego Prezydenta Rzeczypospolitej na Uchodźstwie.

Jeszcze przed zakończeniem II wojny światowej w wyniku sporów wewnątrz emigracji na Zachodzie działało dwóch polskich prezydentów. A wszystko za sprawą Konstytucji Kwietniowej, która pozwalała w przypadku zagrożenia państwa urzędującemu prezydentowi mianować swego następcę, a nic nie mówiła o tym, czy mianowanie następnego automatycznie oznacza odwołanie poprzedniego. Był więc taki moment w historii emigracji, że władze polskie reprezentowało nawet czterech prezydentów. Dwóch ostatnich, Juliusz Nowina-Sokolnicki i Ryszard Kaczorowski kończąc swój urząd przekazali władzę demokratycznie wybranemu prezydentowi. Ale nawet w 1989 roku emigracja nie potrafiła się porozumieć.

[Mówi Juliusz Nowina-Sokolnicki:]

Nasze przekazanie było niezależne od osoby, bo zrobione było jeszcze przed wyborem Lecha Wałęsy dla kogokolwiek, kto będzie wybrany w wolnych wyborach na stanowisko. Podczas gdy druga strona robiła to imiennie, już w dniu wyborów prezydenta Wałęsy.

Goszczący w Krakowie Juliusz Nowina-Sokolnicki przed ponad dwudziestoma laty reaktywował ustanowiony przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego Order Świętego Stanisława. Do tej pory otrzymało go 1500 osób wspierających Polskę w świecie.

Pan Sokolnicki mówił dziś o historii urzędu prezydenta na emigracji, a także o pełnym poparciu emigracji dla starań Polski o wejście do Unii Europejskiej.”

Symbol trwania

(„Dziennik Polski”, 10 maja 1999 r.)

„W Krakowie gościł Juliusz Nowina-Sokolnicki, były prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie, a jednocześnie Wielki Mistrz Orderu Św. Stanisława. Na spotkaniu z członkami bractwa tego orderu prezydent podzielił się wspomnieniami dotyczącymi działań emigracji polskiej po II wojnie światowej. Opowiadał m.in. o rozłamie w łonie emigracji londyńskiej oraz o istnieniu przez wiele lat dwóch rządów prezydenckich, a także o swoich działaniach na rzecz przyszłego zjednoczenia Europy.

– W latach 80. zainicjowałem powstanie Rady Środkowoeuropejskiej, której celem miała być integracja polityczna i gospodarcza krajów wyzwolonych spod komunizmu. Przystąpiły do niej rządy emigracyjne Albanii, Bułgarii, Chorwacji, Estonii i Rumunii. Można powiedzieć, że byliśmy prekursorami zjednoczenia tej części Europy.

Prelekcję o prawnych aspektach prezydentury RP na obczyźnie wygłosił także profesor Jacek Majchrowski. – *Emigracja londyńska miała duże znaczenie w pierwszym okresie po wojnie. Później partie wykruszały się, rząd nie miał uznania międzynarodowego ani realnej władzy. Jego sprawy, rozłamy, spory toczyły się w niewielkim gronie osób. Przetrwanie władz polskich na uchodźstwie miało przede wszystkim wymiar prawny i symboliczny. Dla środowisk emigracyjnych, a także dla części opozycji krajowej, np. KPN-u, były one znakiem ciągłości władz II Rzeczypospolitej. (WT)”*